

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 28 Numeru: *Listy: De omnibus rebus et quibusdam aliis. — Kilka wspomnień pobytu mego w Moskwie w 1842. r. p. W. A. M. — Uwagi nad dziejami Rzpltej do XV. wieku p. Jęd. Moraczewskiego.*

LISTY

De omnibus rebus et quibusdam aliis.

LIST PIERWSZY.

Rozśmieszysz cię zapewne Redaktorze ten tytuł mych listów, ale żadną miarą niemogłem trafniejszego dobrać do mających się traktować w nich przedmiotów. Więc to będzie jakiś rodzaj encyklopedyi powszechnej? zawołasz z przestrochem. Poniekąd, a przynajmniej encyklopedyi pojęć i wyobrażeń dzisiejszych, nie ułożonych systematycznie, lecz łowionych w powietrzu, tak jak codziennie przebiegają pole dzienników i książek. Nie wnosz jednakże, abym jak tytuł przyrzeka, mówił o wszystkim; tak zuchwała obietnica kończy się zwykle na niczem, wiedział o tem i ów autor pociesznego tytułu, gdy zaraz przyczepił dodatek i niektórych innych. Zaczynając zatem mówić o niektórych rzeczach, biorę co najbliższe; to jest, ów spór gramatyczno-ideologiczny, jaki się niedawno toczył o jakies nietrafne wyrażenie się Pana D. w Ro-

ku. — Czy też uwierzysz Redaktorze, że ta mała wojna wprowadziła w pewien ruch, umysły najbardziej nawet otętwiałe? Skoro dzień pocztowy nadchodził, kto żył, oczekiwał z nieopisaną niecierpliwością owych replik, duplik i triplik zjawiających się to w Orędowniku, to w Tygodniku, to w Gazecie, to nakoniec w poważnym Roku. Tu dopiero warto było przypatrywać się wzruszeniom interesowanych Czytelników. Otóż go porządnie wychłostał Pan Ż., Pan B. na ziemię powalił Pana Ż., Pan W. przyczepił się i gryzie za lytki; tam znowu jakiś zapaśnik chce satysfakcyi, choć go nikt nie wyzwiał... B. ma słuszość; M. ma słuszość; Ż. ma słuszość; W. ma słuszość! — Ten wygra, ten tego powali, zniszczy, zdruzgocze!... Tak to wołali widzowie patrzący na tę walkę, i już byli tacy, co się zakładać chcieli, jak na kursach gnieźnieńskich, lub na bitwie kogutów. — Próżne oczekiwanie, nikt niepadł trupem, nikt przekonanych swych nieodmienił, nikt niekorzystał z uwag, tylko zaciętości i nienawiści może silniej kipią w umysłach dotkniętych pociskami u-

cinków i przymówek. Takie rozwiązanie, nie prowadzi do niczego, albowiem zostawia wszystko in statu quo, a nie formułuje żadnej zdrowej opinii. Tem bardziej, że publiczność choć niby taka w tej grze interesowana, jeszcze mniej sformułować ją sobie może; a to z tej przyczyny, że oklaski na tę, lub na ową stronę dawane, padały jakby od Gwelfów i Gibelinów. Urojono sobie konieczne partyje ludzi postępowych i niepostępowych, a zapomniano, że najwyższym postępowym jest prawo harmonii i miłości. Wychodzącym dziennikom gwałtem usiłują przyczepić tę, lub ową chorągiew swoich wyobrażeń, i przez to samo tamują rzetelny postęp prawdy; gdyż jak każde stronnictwo musi się opisać kółkiem, aby w niem ruszać się mogło, i jako jednostka istnieć, tak i pojęcia jego, koniecznie są jednostronne, krótkie, ciasne, pozbawione sprężystości, i tylko ulegające jednemu prawu ciężkości. — Otóż, że się tak wyrażę, nieforemne bryty tych wyobrażeń, któremi chcą sklepić nad nami, jakby drugie niebo, rzeczywiście gniotą swobodę rozwijającego się ducha narodowego, przez zapuszczanie się w drobnostki i formułki, przez niskie ocenianie pojawiających się prac umysłowych, a najbardziej przez dziką pretensję do klasyfikowania wszystkiego, co z pod piór wychodzi, do pewnych kategorii politycznych. Powiadają, że w świecie historycznym nie się niepowtarza, to prawda, co do strony zewnętrznej faktu, lecz symptomata jedne i te same często przychodzą. Kto nie pamięta w owej walce Romantyków z Klassykami, jak Mickiewicz wykazywał nicość sądów tych ostatnich, wyrokujących z Boalem lub Horacym w rękę? Była to emancypacja sztuki i ducha z pod uciążliwych przepisów, które jako powstałe z sztuki kwitnącej za innych czasów i ludzi, niemogły wystarczać potrzebom ludzkości kształcącej się pod wpływem innej myśli. To samo ma się przecież i z dzisiejszymi sądami po niektórych dziennikach; to dało nakoniec i pochop komuś w Orędowniku, że tak ostro przymówił Panu D. Za-

iste, niedotykając tu niczyjej osobistości, niemożna bynajmniej usprawiedliwić owej krytyki umieszczonej w Roku, gdzie referent imiona i dzieła przesiewa nielitościwie przez sito zdania swojego, które niewiemy, na czym się opiera, i prawie wątpić nam przychodzi, czy ma jakowe, prócz urojonych przywidzeń i śmiałości młodzieńczej. — Niegdyś śmiałość ta pędziła pióro młodzieży w kraj uczuć szlachetnych, myśli świeżych, często szalonych, obrazów jaskrawych, które aczkolwiek oddawane bujnym nieco stylem, szumiącym, jak deszczowy potok, niemniej zapowiadały przyszłych nadziei pisarzy; dzisiaj śmiałość ta najgorszy, najpoziomski obrała sobie kierunek: taki młodzieniec, co jak orlik skrzydeł swoich powinien był próbować, teraz wyleciawszy z gniazda, niepatrzy już w słońce, ale kryje się w jakieś ciemne jaskinie, bierze na nos okulary i nożyce, i podług swego sposobu widzenia przekrawuje formułki dla społeczeństwa, którego nie miał szczęścia poznać, albo też położywszy na szali skrawki z różnych exotycznych doktryn o demokracji, ekonomii, furieryzmie, komunizmie i innych weneckich rozumów, waży podług nich wartość prac pojawiających się w kolo niego. — Już ten sposób niecofniętego wyrokowania o rzeczy, niemile razi uszy i ktokolwiek sam pracował w życiu, albo też pojął, ile trudów, ile poświęceń wymaga każdy lepszy utwór; ten nigdy nierabnie zdaniem, tylko obejrzy rzecz i wyszuka choć jedną stronę, w której autor okazał się wyższym nad mierność. Niech tu kto nierozumie, bym wymagał pobłażającej krytyki — o bynajmniej! ale sprawiedliwej, ugruntowanej przecie na czemsiś, nie na widzimisie, lub pewnych opiniach wychodzących z kółek quasi politycznych, a rzeczywiście ani politycznej, ani literackiej wartości niemających. Wszystko to zdrożne ma swoje źródło w niepojmowaniu posłannictwa sztukmistrza, czyli umnika, którego każda partya chce użyć za organ ogłaszania swoich pomysłów; zaiste, niezłe to żądanie ze strony politykujących nie tęgich do pióra, aby ktoś zdutniejszy

ich doktrynę propagował, ale dla sztukmistrza zawsze kończy się ze szkodą, bo naginając siłę twórczą w formę ciasnej sfery, bo wiążąc wzniosłe uczucie w pospolitą częstokroć namiętności, ściągniętym zostaje od niskiego stanowiska, które mu zabrania ogarniać świat i naród w wyższym jego stosunku do Boga i ludzkości. Dla tego sędzę, sztuka niepowinna być ani arystokratyczną, ani demokratyczną, ani furierystoską, ani komunistoską, ale tem wszystkim, to jest: czuć się w ludzkości, w narodzie i tam, gdzie ten upada, lub gmatwa się w błędach, wskazywać mu światłe drogi wyższych przeznaczeń, objawiając prawdy, które każdemu wieszczowi w chwilach boskich natchnień powinny stać nago i dotykalnie. — Przypatrując się dążeniom młodych pisarzy, zapelniających kolumny dzienników pseudo-postępowych, kogóż nierazi ów zupełny brak literackiego wykształcenia? Mam tę pewność, że gdybyśmy dalej szli po tej pochyłości, literatura w ścisłym znaczeniu wymazana by została z listy sztuk pięknych. — Niemala w tym jest wina Redaktorów, ludzi częstokroć nieusposobionych do kierowania pismem czasowym, którzy nieumiejąc ocenić wartości literackiej jakiego płodu, dają mu przecież miejsce, skoro znajdą w nim co kilka wierszy wyrazy: lud i postęp, i parę jeszcze miejsc bonalnych o emancypacji, niwelacji itp. — Psucie się stylu, ten najpewniejszy barometr upadku umysłowego, nigdy tak nieobjawiało się, jak w młodym naszym pokoleniu. Proszę tylko z uwagą odczytać niektóre artykuły w Tygodniku, w Roku, jak podróż po Lubelskiem, Diabeł polski, O frenologii, znowu Obrazki i Szkice, a na nieszczęście i Trentowskiego*) o Wronskim, a prawdziwie załamać trzeba ręce nad tym złotym języ-

*) Pan Trentowski znamienity uczony i filozof, grzeszy często przeciw polszczyźnie; lubo z drugiej strony styl jego pełno ma oryginalności i niespodzianych wyrażań i zwrotów, czem pokrywa niedostatek znajomości ojczystego języka. Nigdy go jednakże nieklasyfikuję z pisarzami nowej tej szkoły.

kiem Zygmontowskich wieków, iż do takiego przyszedł skażenia i upadku; nie tylko bowiem formy i zwroty są dziwaczne, nie swojskie, ale nadto i gramatyka gwałcona. Niegdyś za moich czasów, był to moment niejako solenny, gdy młody pisarz w dzienniku jakim pierwszy swój plód umieszczał; ileż to on mozolów; ile nocy bezsennych kosztował, a ile poprzednich rozmyślań i nauk, ile nakoniec łamał się z językiem i stylem; — dziś, gdy młodzież zdaje się nie stylu, tylko pomysłów nowatorskich pilnować, jakże łatwo wchodzić do tego przybytku muz i filozofii; dość przeczytać jedną książkę roprawiającą o jakiej socyalnej doktrynie, albo popierającą polityczną jaką kwestyję, już ci i zjawia się autor, który nieprzetrawiony ten kasek, swoim sposobem, to jest bez żadnego stylu i znajomości języka, publikuje w piśmie czasowym. Niema w tem przesady co mówię; albowiem ta łatwość pisania politycznie i filozoficznie, ma się w stosunku zupełnie odwrotnym od wykształcenia arystowskiego lub naukowego; wiadomo przecież wszystkim, że rozprawianie o filozofii i polityce jest w dziedzinie każdego, co nabył jakich takich wiadomości, oddanie zaś głębokich przekonań, długich badań i rozmyślań, wymaga stylu wypracowanego, a używając wyrażenia się Lessynga, właściwego piszącemu, jak jego nos, to jest niepożyczonego od mody; i tacy pisarze mają go na swoje zawołanie; mają go, jak go miał Chodakowski piszący o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej, jak go miał Mochnacki, Śniadecki, Krasicki, jak go ma tylu nowszych dobrych pisarzy, którzy ważą każde słowo, nim je napiszą dla najtrafniejszego oddania myśli. — Od jakiegoś czasu, jakby parodując dawną walkę romantyków z klasykami, która toczyła się właściwie o wyzwolenie ducha, zaczęto poniewierać formą i stylem. A przecież to forma nie jest rzeczą tak lekką, aby nią można pomiatać. Błądzi mocno, kto myśli, że jedna i ta sama myśl może być oddaną w kilku kształtach. Jeden pomysł, zawsze ma tylko jedną formę sobie

właściwą, zupełną, najlepszą, najściślejszą, która innemu pomysłowi niesłuży, która jednocześnie z pomysłem wyskakuje z mózgu człowieka. Dlatego u wielkich pisarzy nie jest ściślej z sobą powiązane, jak pomysł i wydanie pomysłu. Zabij formę, zabijesz pomysł, któż pozna Homera w tłumaczeniu Dmóchowskiego. Dla czego nowsi pisarze tak polubili fragmentowe formy; dla czego ich okresy są bez pełności, bez rozmiaru? oto, bo myśl jest niekompletna, nieprzeprowadzona przez wszystkie stopnie rozwijania się; pozornie tylko ujęta, ciągle się jak ptak wymyka. — Każda sztuka, co pragnie utrzymać się przy życiu, powinna wyrobić sobie w duchu pojęcia formy, języka i stylu.

Pod tym względem widzieliśmy olbrzymi u nas postęp, mianowicie co do języka. Ow wodnisty i blady strumień modyfikowany na dźwiękach szczebiotania francuzkiego, zalewający i prozę i wiersze w czasie księstwa warszawskiego, doznał ogromnej przemiany przez zmieszanie się z źródłem staropolskiem, słowiańskim i ludowem. Poeci dokonali tego dzieła: jak pszczoły swój miód, oni myśląc o czem innem, bez wyrachowania, bez systematu, jedynie wiedzeni rzadką i przyrodzoną bystrością pojęcia, wiali nowe życie w słowo. Oni to nadali barwę językowi, rozszerzyli znaczenie i stosunek wyrazów od wyrazów, a zawsze pilnując ściśle ducha mowy ojczystej. Można powiedzieć, że od lat kilkunastu bogactwo języka codziennie wzrastało od powstania szkoły tak zwanych romantyków, aż do pisarzy prawdziwie narodowych. Zkądże ten nagły teraz upadek, mianowicie w księstwie poznańskim? Jeszcze raz powtarzam, oto z zupełnego braku kształcenia się autorskiego, z wielkiego zarużmienia o własnej mądrości, która jest tylko kradzioną mądrością; z poniewierania pisarzami, od którychby się uczyć potrzeba. — A małyż dowód na krytyce Mosbacha przeciw Michałowi Wiszniewskiemu? małyż na lekcważeniu Kraszewskiego, Maciejowskiego itd. którzy mimo krzywych niekiedy pojęć, znoszą przecież swoją czastkę

miodu do ojczystego ula; którzy nakoniec tysiące razy mniej są szkodliwi, niż jaka pseudo-filozoficzna gadanina wysuszająca mózg i serce. — Jeżeli mamy zdrowy sąd o rzeczy, bierzmy z autora, co dobre; złe możemy wytknąć, omyłkę sprostować, ale jednym pociągiem pióra walić mozoły lat wielu, poniżać talent, który krocie zapór musiał przelamać, nim doszedł do tego, czem jest — to niesumiennie, a nawet niepatryotycznie.

Gdyby imię moje miało jakie zasługi w świecie uczonym, gdyby głos mój potrafił wywrzeć wpływ stanowczy, odezwałbym się z prozbą do naszej młodzieży, na której spoczywa przyszłość literatury, tak świetnie rozpoczęta, aby się dobrze zastanowili nad wysokością swego posłannictwa, i odtąd przyjęli w sposobie wyrażania swych myśli więcej godności, sumiennosci i powagi. Przyszłość, jeśli się zastanowimy, należy tylko do ludzi mających styl. Pomijając już wyborne plody starożytności, a zamykając się w ojczystych, spróbujmy też odjąć pomysłom naszych wielkich pisarzy, sposób wyrażania się ich własny, i tak odejmijmy Krasickiemu jego żywość, potoczność, i to trafne słówko, niedające się żadnem innem zastąpić; Brodzińskiemu rzewność i prostotę, i tę słodcz tak sielską; Mochackiemu owe barwy i moc zalatującą z wieków Skargi, tę cudowną przezroczystość i pełność okresów, z których niemożna wyjąć jednego wyrazu, Zaleskiemu śpiewność skowronka wzbijającego się coraz wyżej — a Mickiewiczowi wszystkie te tajemnice nieodgadnione wielkiego geniuszu — mieszczące się częstokroć w najprostszym słówku — i cóżby nam z tych mistrzowskich wzorów zostało? — To, co z Homera zostawił Przybylski lub Dmóchowski, co francuzkie przekłady prozą zostawiły z Mickiewicza.

Styl zapewnia trwałość dzieła i nieśmiertelność autorowi. Piękne trafne wyrażenie się upiększa myśl i przechowuje ją; jest to razem i ozdoba i zbroja. — W każdym lepszym pisarzu powinien być dobry gramatyk, jak rachmistrz w astronomie.

Na zawiązanie tego, com dotąd wyraził, niepodobna mi niedorzucić kilku uwag o pojmowaniu sztuki. Przedewszystkiem sztuka powinna mieć swój cel w sobie samą, (nierozumiem tu mylnego zdania: sztuki dla sztuki), lecz ma ona w locie swoim nauczać, moralizować, cywilizować, budować, nieodwracając się wszakże od celu, z okiem w niebo wzniesionem, z sercem i uchem skłonionem do ziemi. Im więcéj będzie bezstronną i spokojną, tem mniéj niepokoju uczuje na brzęczenie przemijające politycznych stronnictw, tem więcéj wcieli się w człowieka narodu. — Nie ciskaniem się przeciw temu lub owemu obyczajowi, lub porządkom społecznym, a nareście przeciw téj lub innéj partyi, można wpływ jaki osiągnąć. Tylko oddawaniem prawd przedwiecznych, malowaniem nieśmiertelnej natury, która tkwi w sercu każdego; tylko chwytając nas, ciebie, mnie, wszystkich, ze strony żywych uczuć ojca, syna, matki, brata, siostry, kochanki, przyjaciela; tylko mieszając prawa Boskie z grą naszych namiętności; tylko pokazując nam, z kąd idzie złe i dobre moralne, i dokąd prowadzi; tylko wstrząsając w imię najczulszych uczuć wszystkim, co widzi w wnętrznościach naszych, słowem, bądź promieniami, bądź błyskawicą sięjąc światło na serce człowieka, powstaje świat nowy z zamętu. — Tylko tak, a nie inaczej. Im oko poety lećce w przestwor coraz szersze obejmować będzie horyzonty, tem wieszcz stanie się szczytniejszym i pożyteczniejszym ludzkości, — im pisarze potoczni ściślej trzymać się będą prawd niewzruszonych, im sumiennieć oceniać wypadki i ludzi, im głębiej pojmować zasadę harmonii; tem wyraźniej pisma ich uwolnią się od téj niewolniczej cechy niemocy umysłowej i naśladownictwa, a tem samem wypływając z szczerych, gruntownych przekonań, nie tylko trafić będą do potrzeb powszechności, ale nadto we względzie sztuki zbliżą się do ideału pięknoty, która tylko mieści się w bezwarunkowej prawdzie.

Lach-Serdecznij.

Kilka wspomnień pobytu mego w Moskwie w 1842. roku.

Przez
W. A. M.

Moskwa jest sercem Rossyi, zwierciadłem narodu, ogniskiem, z którego wytrysły i w którym skupiają się promienie, wielkość państwa, tudzież powstawanie i wzmaganie się jego sił, przedstawiające. Już wówczas, kiedy Tatarzy panowali nad Rossyą, pokazywać się zaczęły znaki przyszłej wielkości miasta Moskwy, od nazwy którego Zachód nadał imię całemu krajowi (Moscovia). Otaczają go różne niezawisłe księstwa, udziały potomków Ryryka, które moskiewscy wielcy książęta, pojmując ideę jednowładztwa, stopniowo podgarniali pod swoją władzę; ostatecznie z siebie, lub, co znaczyło też samo, z całej północnej Rusi zrzucili jarzmo Tatarów, które ciążyło nad nią prawie przez dwa stolecia, podbili Rzpłtą nowogrodzką, która odmienną drogą rozwijała się i wzmacniała, i mogła niejako stanowić tamę działaniom moskiewskich Carów; późniéj zaś zdobywając różne różnego ducha państwa, (jako to carstwa kazańskie, astrachańskie itd), jednoczyli je z krajami własnymi. Siła główna skupiała się w mieście Moskwie, które z postępem czasu, stawało się tem dla północy, czem starożytny Rzym dla Italii. — Gdy różnorodne żywioły przystawały zwolna do gniazda potęgi moskiewskiej i zwolna pierwotną swą traciły postać, przeto w jego składzie daje się rozpoznać dawność od nowości, swojskość od obczyzny. Dziś nawet, po tylu szczęściach i nieszczęściach przebytych kolejach, po tylu spustoszeniach i pożogach, widać jeszcze w mieście Moskwie niejakié ślady postaci owéj, którą na sobie nosiła kilka wieków temu; być może wtedy nawet, gdy po raz pierwszy, to jest w drugiéj połowie XIIgo wieku, na widok świata w historii wystąpiła. Owe obszerne, a bujną trawą porośnięte place, owe stawy i stawki, owe nadzwyczajnej szerokości, a kwieciami i ga-

jem umajone ulice, owe ogrody i sady dom od domu oddzielające, okazują na pierwsze zaraz wejście, że ogrom, dzisiejsze miasto Moskwę składający, był niegdyś zbiorem wiejskich i miejskich osad, kupujących się około słowiańskiego grodziszczu, w pośrodku nich na górze wystawionego i obwarowanego, a który był przeznaczony na danie przytułku zamieszkującym je sielanom i mieszczanom. — Grodziszczem tym jest Kreml. Dotąd gmin przez wyraz miasto (gorod) nie całą Moskwę, lecz tylko Kreml z stykającym się z nim, a murem obwiedzionym Kitajem, rozumi. Ten to gród jest przedmiot najciekawszy dla wędrowca, nie tak z powodu budowli swojej, bo ta nie jest zbyt stara, wyżej nad XIV. wiek nie sięgająca, jako raczej dla przywiązanych do niego wspomnień, tudzież bardzo szacownych pamiątek, ściśle z dziejami tak Rosyi, jako też i Polski połączonych. Przypadaj do nich zabytki starożytności na Tagance, sięgające odległych czasów; z temi połącz wspomnienia o tak zwanych ostrożkach i Trubeckim zamku za rzeką Moskwą położonych, stąd rzuci znowu okiem na Kreml, a przed wzrokiem twym rozpostrze się widok najważniejszych dla Słowianina pamiątek. Przypatrzmy się mu bliżej.

Od strony ostatniego krańca dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, od Smoleńska, jadąc na wschód, przybywa się po trzechdniowej blisko jeździe na wzgórze, poza któremi na obszernej płaszczynie rością się ogromne, bo od rogatki Sierpuchowskich do rogatki Włodzimirskich, na piętnaście wiorst długie, a na dziesięć szerokie miasto Moskwa, uderzające wzrok bieluchnemi murami swoich gmachów, i złocistemi kopułami trzystu sześćdziesięciu cerkwi i cerkiewek, z pomiędzy których, jak gdyby gęste pęki winnej macicy, wystają zielone dachy pałaców i publicznych gmachów. Kiedy Napoleon wkraczając tędy do miasta, przybył na to uroczne miejsce, uderzony czarującym widokiem tego nowego Carogrodu, czas nie mały przypatrywał się w zadumieniu wspaniałej jego

postaci. Z mnóstwa wież i wieżyczek (dzwonic), szczególnież zastanawiają dwie baszty: tak przez cesarzową Katarzynę II., nazywana Krasawica (piękna wieża), wznosząca się na Tagance, tudzież kopuła śmiertelnej na Kremlu cerkwi, gdzie donośny dzwon, podobnie jak krakowski Zygmunt, poważnym odgłosem wzywa na modlitwę pobożnych rzeszę. Wchodząc od wschodu do Moskwy, przybywa się do części miasta, która od postaci swój trójkątnej nazywa się Taganką czyli Trojnożnikiem (*τὸ τριπόδιον*, naczynie trojnożne). Ozdobą jej jest bogate opactwo nowo-spaskie, czyli klasztor po wstąpieniu na tron panującego domu nowo odbudowany, pod dawnem godłem Zbawiciela s. (swatoj spas); a klasztoru tego ozdobą jest znowu Krassawica owa. Poza klasztorem tym leżą dwa inne. Jeden nazywa się Simonowski (Sgo Szymona), gdzie w czasie pobytu Polaków w Moskwie (na początku XVII. wieku) miał swą kancelaryą Lew Sapieha, zmarły później w Kremlu; drugi zowie się klasztorem na Krutycy, czyli na wzniosłym miejscu, (bo jest wznioślejsze nad inne w tej części miasta) wystawionym, gdzie przed przeniesieniem tu metropolii kijowskiej, była siedziba tak zwaną moskiewską diecezji. Gdy w XIII. wieku opanowali Tatarzy Rosyją, podzieloną na mnóstwo, jak powiedziałem, niezawisłych udzielnych Księstw, Chanowie tatarscy zawsze wyświadczała szczególną łaskę dla rosyjskiego duchowieństwa, uwalniali je od daniny i dawali mu jarłyki czyli osobne przywileje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uwagi nad dziejami Rzeczypospolitej do XVgo wieku przez Jędrzeja Moraczewskiego.

(Dokończenie).

Henryk byłby Bolesławowi Czech nieodebrał, gdyby naród obietnicami przyszłego księcia ujęty, sam się był wziął do broni. Wiadomo, jak trudno się utrzymać panującemu, gdy lud pospolity chce zrzucić jarzmo. Jaromir panował

w Czechach, złożwszy hold Henrykowi. — Mylnie twierdzi Pan Moraczewski, jakoby Mieszko syn Bolesława sam przybył do Merseburga, owszem Henryk go zaprosił z wyszczególnieniem i nadzwyczajną grzecznością przyjął, na rycerza pasował i z darami do domu odesłał. — Bolesław potem sam przybył do Merseburga, wprzód wzięwszy wielu szlachejnych panów niemieckich, jako zakładników dla bezpieczeństwa. Tam pasował go Henryk na rycerza. Bolesław towarzyszył mu do świątyni, niosąc miecz goly około niego, nie jako miecznik, lecz było obrządek należący do passowania. Niewiem, z kąd autor dowiedział się, że Bolesław był pasowany z rękoma na krzyż złożonemi, co bynajmniej do obrządku nienależy, lecz niemogę pojąć, jak P. Moraczewski, jako historyk, znając charakter Bolesława, mógł przypuścić, aby ten wielki monarcha tak się poniżył. Od ngody merseburgskiej, utrzymuje on, został Bolesław holdownikiem Henryka, zasadzając swe zdanie na wyrażeniu się Ditmara „cum beneficio disiderato”, lecz zapomina o tem, że Ditmar mówi: „niech Bóg przebaczy cesarzowi (Henrykowi), że książęcia daninę płacącego zrobił królem (Dominum)”, wyraz ostatni nieda się tłómaczyć, jak przez niezawisłego, niepodległego pana. Jestto jawne przyznanie Ditmara, które zbija twierdzenie, „cum beneficio disiderato”, co inaczej rozumieć wypada. Wprawdzie obiecał Bolesław towarzyszyć na wyprawę rzymską, lecz niemyślał dla wyprawy włoskiej opuszczać zagrożonych państw własnych. Cesarz postanowił położyć raz koniec dokazywaniom Bolesława, mówi autor, lecz wojna mu się nie wiodła, a Bolesław zagrożony od Rusi, życzył sobie także pokoju, posłał zatem do cesarza, lecz nie w celu odzyskania łaski, której niepotrzebował, tylko w chęci zawarcia pokoju. — Zawarto i zaprzysiężono traktat z stron obudwóch. Autor w niewiedomości swojej twierdzi, że warunki tego traktatu są nam niewiadome, a przecie nawet kronikarze niemieccy przyznają, że Bolesław zawojowane kraje zatrzymał, pisarze czescy przyznają to także. Naruszewicz tak ostrożny i krytyczny historyk zgadza się na toż samo, a więc nie możemy twierdzić, że warunki tego traktatu są nam niewiadome. Kadłubek i Boguchwał wspominają o tym traktacie, lecz tylko nawiasowo. Widzę więc, że autor niepodziela zdania uczonego Naruszewicza, i woli utrzymywać mylne i bajeczne powieści lichych dziejo-kletów. O słupach żelaznych Bolesława bardzo mało pewnego, jednakże rzecz godna uwagi, że Boguchwał i Wincenty syn Kadłubka przydają czwarty słup przy zejściu Dunaju i Cissy, na pamiątkę zholdowanych Węgrów. O koronacji powtórnej Bolesława, na wzgardę cesarza Konrada, z którym zwyciężką wojnę prowadził, żadnej niema wzmianki.

Ze panowanie Mieszka II. pochwały godnem niebyło, zgadzam się zupełnie; oddany rozkoszom w kole zepsutej młodzieży, zapominał o sławie ojca, którą byłby swą walecznością niezawodnie osiągnął, gdyby nie gnuśność, któ-

rej zanadto się oddał. Niemniej dumny, jak wielki jego poprzednik, kazał się koronować, toczył wojnę mniej więcej szczęśliwie z cesarzem Konradem; lecz holdu nieskładał. Z Ottonem bratem panowania niedzielił, Wippo kapelan Konrada II. wspomina o tem, lecz żaden inny ani niemiecki, ani czeski, ani polski kronikarz, chyba ci, którzy Wippona wypisywali. Lecz rzecz ma się inaczej: w tym samym czasie panowali na Pomorzu książęta Udonowie czyli Ottonowie, wypadek taki musiał mieć miejsce na Pomorzu, a Wippo bez wątpienia się pomylił, zwłaszcza, że znamy, jak wiele w swych pismach poprzekręcał. (Naruszewicz II. T. H. N. P. przypisek u), (Szultz, polonia nunquam tributaria). Pomijam Kazimierza, i przystępuję do Bolesława Smialego. Ten prowadził szczęśliwie wojnę z Rusią, Kijów zdobył, a szczerbę Chrobrego odnowiwszy, wspaniale uraz do mieszkańców tego grodu zapomniął. Byłby równie sławnym, jak pradziad, gdyby nie słabość, której nawet wielcy ulegają. Jak Hanibal w Kapui, tak nasz Bolesław w Kijowie zepsuł się i znikczemniał. Wojsko zaczęło go opuszczać, mimo zakazu jego: odjechał z Kijowa, zostawiwszy załogę; ostatnia niewidząc się tam bezpieczną, także opuściła Kijów; lecz Rusini Polaków niewypędzali, jak P. Moraczewski twierdzi. Król biskupa o jakies kalectwo przyprawił, wyraża się autor. Niewiem czy można kalectwem nazwać, gdy kogoś rozsiekać każemy, kaleka żyć może, lecz rozsiekany musi umierać. Bolesław pierwszy natarł na biskupa, i tak silnie w głowę szablą ugodził, że mózg aż o ścianę prysnął; dopiero towarzysze królewscy wywiekli go przed kościół, a pastwiąc się nad zwłokami nieszczęśliwego, ręce nogi i inne części od tułowu poodzielali. — I to według zdania P. Moraczewskiego było tylko kalectwem!! Niepochwalam ja, że biskup się mieszał w sprawy królewskie, lecz mamy przykłady, że taki był duch czasu, Henryk II. król Angielski o mało korony niestracił przez Anzelma biskupa kanterburskiego. Niewspomina autor o założeniu klasztoru Mogilna przez Bolesława i ustanowieniu, żeby tylko rodacy na katedry wstępowali. — Po oddaleniu się Bolesława, nastąpił Władysław Herman. Słaby ten monarcha niebył w stanie przeszkodzić mianowaniu Wratysława królem polskim, Henryk IV. potrzebował pomocy jego, przeto jak mógł, tak ją sobie skarbił. Lecz jakież korzyści odniósł Wratysław z tytułu tego? Daniny nieodebrał, ludzi własnych natracił. Później gdy Władysław Herman spowinowacił się z cesarzem, sprzeczki ustały, lecz po śmierci Wratysława z synem jego Brzetysławem zatarci odnowiły się. Po Hermanie następuje Krzywousty, prowadzi wojnę z Czechami i Pomarzanami. P. Moraczewski utrzymuje, że tam panował Swiatybor krewny Bolesława, i że Pomarzanie z obawy napadu, puścili go z więzienia, twierdzenie zupełnie się niezgadza z prawdą, ponieważ Bolesław pod pozorem ujęcia się za krewnym uwięzionym, udał się na Pomorze w celu ustalenia władzy swej, lecz

nie w obronie wiarołomnego panka Pomorskiego. Podług P. Moraczewskiego był Bolesław napadnięty przy poświęcaniu jakiegoś kościoła przez rycerza pomorskiego założonego, którą to powieść P. Moraczewski u jakiegoś interpolatora wyczytać musiał. Widzę, że autor obznajmionym był z dziejami Bolesława Krzywoustego, lecz nie najlepiej je uporządkował. Gdyby był przynajmniej datami dowodził, możebyśmy się prędzej zgodzili. Dalej pisze autor o wojnach czeskiej, pomorskiej domowej ze Zbigniewem i niemieckiej, zgadzam się tak do szczegółów, jak co do porządku, w którym następowały. Autor utrzymuje, że Bolesław zhańbił się wylupieniem oczu Zbigniewowi. Zbigniew syn poboczny Wład. Hermana wprowadzie za syna uznany, zdrajca ojca i pana, kilkakrotnie zdrajca brata i pana, waleczący przeciw monarsze i ojczyźnie swej, tyle razy ulaskawiony, nawet dzielący panowanie, powstaje przeciw tak łagodnemu bratu. Osądzony na śmierć za tyle zrad, występków, które znowu w niepamięć puszcza szlachetna dusza Krzywoustego, a karę śmierci na wygnanie zmienia.

Zbigniew niepomny tylu dobrodziejstw, znowu podusza Niemców; lecz widząc wszystko daremne, odwołuje się do przykładu Władysława czeskiego, który wydzielił bratu Sobiesławowi część swego kraju, do dobroci brata i przybiera postać pokutnika, chce powracać do kraju. Łagodny i dobrotliwy monarcha przyjmuje go łaskawie, mimo niestósownego wjazdu, lecz wnet złe zamiary odkrywają się, zdrażliwe knowania wychodzą na jaw, Bolesław rozkazał go pojmać, wydał nań wyrok śmierci zbyt prędko przez żołnierzy wykonany. Czemuż pytam się autor niewyraził przyczyn, które zniewoliły Bolesława do wydania tak okropnego wyroku? Mamy przykłady, że monarchowie zapominając uczuć ojca, własne dzieci poświęcali dla dobra ojczyzny, mniej występne od Zbigniewa. Dalej pisze autor o wojnie z Swiatopełkiem o oblężeniu Nakła, o missyi pomorskiej, zgadzam się na to, lecz czemuż niema wzmianki o odesłaniu Swiatopełka na wieczne więzienie do Polski? Czemuż niema wzmianki o przeniewierzeniu Skarbimira i o wylupieniu oczów temuż? Są to dwa fakta zasługujące na wzmiankę w historii. Około roku 1120. przybył do Polski niejaki Piotr Duńczyk, ten namówił Bolesława IIIgo na wyprawę przeciw Duńczykom w celu zabrania skarbów po królu Eryku. Niemasz nie pewnego o wyprawie Bolesława, lecz że Duńczyk Piotr zjawił się w Polsce i Duninów dom zaszczerpił, niemasz

wątpienia. — Ten sam Piotr Dunin wówczas już dzieląc na Księdzu i Skrzynnie herbu Łabędź — lecz nie Piotr Włostowicz, jak Pan Moraczewski twierdzi, podjął się Wołodara kniazia przemyskiego, który Pomorzan, Prusaków, Połowców burzył, uwięzić, nie na ucztę, lecz na łowach, dopiął swego zamiaru. Związanego do zamku swego w Księdzu odesłał. Za przeniewierzenie się skazany od papieża na wybndowanie siedmiu kościołów, wybudował siedmdziesiąt i siedm i hojnie opatrzył. Zresztą zgadzam się na hold złożony Lotharowi z Rugii i Pomeranii, passowany na rycerza niósł miecz goły, jak niegdyś nasz Bolesław Wielki.

Z śmiercią Krzywoustego następuje panowanie starszej dzielnicy mazowieckiej. Pomijam tu początki panowania Bolesława IV. Kędzierzawego, przystępuję do holdu, który w tak upakarzającej postawie musiał Rudobrodemu składać. Wprawdzie Wincenty kanonik pragski wspomina o tem, lecz inni społecznisi milczą. Niezdaje się, aby książę polski tak dalece się poniżył, cokolwiek prawdy tak w tem jak w wszystkich bajkach być musi. — Lecz jeżeli trzydniowe hosyny Henryka cesarza w Kanossie wstydu niemieckiemu narodowi nierobią, tym mniej chwilowy hold będzie wstydzil książęcia polskiego.

Kończąc na Bolesławie IV. uwagi, pomijając mnóstwo błędów pomniejszych, pomijam nakoniec styl okrutnie pokaleczony germanizmami; lecz tego darować niemożę, że P. Moraczewski pisząc, że Kazimierz Wielki odbierając hold od Ziemowita książęcia mazowieckiego, po feudalnemu na tronie się rozpierał, wyraża się, jak jaki król niemiecki. — Nareszcie P. Moraczewski pisze o śmierci Kazimierza Wielkiego, „gdy nazajutrz ściągł jelenia, przy wysiadaniu z pojazdu, skaleczył lewą nogę na gołeniu.” — Zaiste nie mogą pojąć łowów, na których w powozach pomiędzy krzaki i baszcze ścigano zwierza; rzecz ma się zupełnie inaczej. W dzień poświęcony narodzeniu Matki Boskiej, pomimo pobożnych dworzan, wyjechał król na łowy, lecz gdy nazajutrz ściągł konno jelenia, spadł i skaleczył lewą gołęń. Lata, otyłość i szwank odniesiony sprawiły gorączkę, która złem leczeniem magistra Macieja, to jest nie wstrzemięźliwością, mimo rad magistra Henryka z kolonii, tak smutnie się skończyła.

Łwów dnia 10. Października 1842. r.

OREDOWNIK wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata półroczna wynosi 9 Złtp. Prenumeratę na Oredownik przyjmuje tylko **KSIĘGARNIA NOWA** i wszystkie król. pocztamty.